

Bohdan KRÓLIKOWSKI

ZIEMIA I GROBY

Często ogarniam myślą naszą historię. Ubolewam, że Bolko Chrobry żył za krótko, że nie udało się utrzymać granicy na Łabie i uchronić plemion Słowian zachodnich przed niemieckim mieczem. Myślę, co by było, gdyby Bolesław Krzywousty nie podzielił Polski między synów – pewnie wtedy nie trzeba by było wzywać krzyżaków. Buntuję się przeciw nazywaniu ostatniego Piasta „Wielkim”. Jak mógł oddać Śląsk cesarzowi? Śląsk, który bez trudu można było odzyskać podczas wojny trzydziestoletniej, który trzeba było wziąć jako zapłatę za odsiecz wiedeńską.

Ojczyzna to ziemia i groby,
narody tracąc pamięć, tracą życie.

Taki napis umieszczono w roku 1948 przed wejściem na cmentarz „na Pęksowym Brzysku” w Zakopanem, w stulecie otwarcia tej nekropolii. Autorem tych słów (tak głosi podpis na owej tablicy) jest jakoby marszałek trzech państw, Francji, Wielkiej Brytanii i Polski, Ferdynand Foch. Gaskończyk z Tarbes, wielki wódz (jeden z niewielu autentycznych chrześcijan wśród francuskich generałów), pamiętnikarz, ale też myśliciel, czego dowodem owa sentencja.

„Ziemia i groby”. Ale gdzie jest nasza ziemia? Odpowiedź niełatwa. Pan Tadeusz, poemat uznawany za jedną z najważniejszych książek w polskiej literaturze, rozpoczyna się przecież słowami „Litwo, Ojczyzno moja”. Słowami dla mnie bliskimi, urodziłem się bowiem nad Wilią, na wileńskim Antokolu. A przecież nie jestem Litwinem (choć mam w żyłach odrobinę krwi litewskiej po jednym z macierzystych prapradziadów).

Odpowiedź na pytanie o naszą ziemię byłaby prosta, gdybyśmy mogli powiedzieć, że nasza Ojczyzna to Rzeczpospolita, bez numerów i przymiotników, a jeśli już, to tylko Najjaśniejsza. Ta sprzed rozbiorów, Jagiellońska, Stefana Batorego, Wazów. Tę to ziemię skrapialiśmy hojnie krwią i potem. Budowaliśmy na niej miasta i fortece, zamki i kościoły, dwory i dworki. Osiedlaliśmy się na niej. Bogaciliśmy się jej synami przyjmującymi polską mowę, obyczaj, wiarę naszą zwłaszcza. Synami wnoszącymi do skarbca naszej historii, naszej kultury jakże istotne treści. Ale też trzeba przyznać, że nie byliśmy wobec synów tej ziemi bez winy. Temat to osobny. I smutny.

Broniliśmy tej ziemi, wrastaliśmy w nią, tracąc jednocześnie ziemię „skąd nasz ród”. Ziemię lekkomyślnie oddane obcym, nieutrzymane przy Macierzy,

z Niemcami w znacznej części. Oddano je nam, zabierając tamte, na wschodzie. Gdzie jest zatem nasza ziemia? Czy tylko w naszych granicach?

A gdzie groby nasze? Rozrzucone daleko. Na nieludzkiej ziemi, w Iranie i Iraku, w Italii i Wielkiej Brytanii, na dnie mórz i oceanów. Długo by wyliczać miejsca naszych grobów, naszych cmentarzy. Bo gdzież nie ma grobów naszych lotników? Naszych marynarzy?

„Narody tracąc pamięć, tracą życie”. Najpierw zastanówmy się, co to jest naród. Jedną z odpowiedzi daje Mieczysław Albert Krąpiec OP¹. Według niego jest pięć czynników stanowiących o narodowej jedności: 1. wspólnota krwi, 2. ziemia wspólnego zamieszkania, 3. wspólna historia, 4. religia, a wreszcie 5. utożsamienie się ze wspólną historyczną kulturą.

Już słyszę protesty. Z pewnością czwarty czynnik wzbudzi zastrzeżenia. Nie bez racji. Generalnie rzecz biorąc, oczywiście, chrześcijaństwo, katolicyzm stoi u podstaw tworzenia się naszego narodu. Jednakże z upływem wieków sprawa się komplikuje. Czy protestant lub ateista nie może być Polakiem? Czy nie byli Polakami luterańscy pastory o niemieckich nazwiskach, mordowani przez Niemców za odmowę podpisania folkslisty? Skomplikowany twór ten polski naród.

Bo cóż to właściwie jest naród polski. Polacy. Ale kogo można nazwać Polakiem? Przed laty rozmawiałem z kilkoma młodymi Francuzami o tym, co decyduje o przynależności do narodu. Ich odpowiedź była prosta: obywatelstwo i język. Wystarczy mieć francuski paszport i znać język francuski. Wtedy jest się Francuzem. Ja miałem inny pogląd na tę kwestię. Podkreślałem przede wszystkim więzy krwi i tradycję. Czy teraz, po latach, dałbym taką odpowiedź? Taką, ale nie tylko taką.

Kilka lat po wspomnianej rozmowie pokazano mi w Belgii, w wiejskiej gospodzie, niejakiego Urbaniaka. Okazało się zresztą, że to nazwisko jego matki. Rozmawialiśmy po francusku. W tym też języku zapytałem go na pożegnanie, kim się czuje w sercu. Odparł bez namysłu: „Je suis Polonais”.

Razu jednego, dawno temu, na zebraniu pisarzy w Warszawie nie umiano jednoznacznie określić, kto jest polskim pisarzem. Powiedziałem: „Polak piszący po polsku”. Zapadło milczenie. Tylko jeden z profesorów obrzucił mnie nienawistnym spojrzeniem. Był oburzony. Kto jest polskim pisarzem? Kto jest Polakiem?

Dziś miałbym nieco inną na to odpowiedź niż wtedy, w Paryżu. Czy nie był bowiem Polakiem generał Władysław Anders, wnuk, a może nawet syn Niemca, luteranin, którego trzech bracia byli polskimi oficerami? A generał Franciszek Kleeberg (z bratem Juliuszem, też generałem), o którego ostatnim rozkazie pisał Jan Lechoń (notabene Ormianin z pochodzenia): „I słyszysz [...] równie piękne

¹ Zob. M. A. Krąpiec OP, *Rozważania o narodzie*, Instytut Edukacji Narodowej–Fundacja Servire Veritati, Lublin 1998.

słowa / Jak tamte, które kiedyś umilkły w Elsterze”². A generał August Emil Fieldorf „Nil”, komendant Kedywu AK, zamordowany przez bezpiekę za... współpracę z gestapo. Dodajmy, że generał Stanisław Maczek, ukochany przez żołnierzy „Maczuchna”, był z pochodzenia Chorwatem. Wymieniam tylko paru generałów, a przecież ilu by tu jeszcze można dodać wojskowych, ilu luminarzy naszej nauki, kultury, literatury z niepolską krwią w żyłach.

Przywołam jeden tylko przykład. Jesienią roku 1939, we Lwowie, Wanda Wasilewska na zebraniu polskiej inteligencji powiedziała: „Polski już nie ma i nigdy nie będzie”. Na to wstał profesor Juliusz Kleiner. „Tu padły słowa niedobre – powiedział. – Polska jest, proszę państwa. My ją czujemy w naszych sercach”. Kto z tych dwojga był Polakiem?

Myślę, że mógłbym teraz, zmierzając ku starości, dać już nieco inną odpowiedź na pytanie, kto może być Polakiem. Po prostu: ten, kto się czuje Polakiem, daje temu wyraz całym swym życiem, pracą, a gdy trzeba walką.

Roman Dmowski, wielki nauczyciel narodu, polityk o niedocenianych zasługach, w zapomnianej dziś książce *Myśli nowoczesnego Polaka* (wydanej w roku 1902, wznawianej wielokrotnie, nie we wszystkich punktach dziś aktualnej) nie zadaje pytania, kto jest Polakiem. Píše, jak być Polakiem. Romantycy mawiali: Być Polakiem to żyć bosko i szlachetnie. Górne to słowa i piękne, ale niestety mało realne.

Dmowski jest realistą. „Jestem Polakiem – pisze – nie dlatego tylko, że mówię po polsku [...] Jestem Polakiem – to znaczy, że należę do narodu polskiego na całym jego obszarze i przez cały czas jego istnienia, zarówno dziś, jak w wiekach ubiegłych i w przyszłości”³.

I dalej: „Jestem Polakiem – więc mam obowiązki polskie: są one tym większe i tym silniej się do nich poczuwam, im wyższy przedstawiam typ człowieka. Bo im szerszą stroną mego ducha żyję życiem zbiorowym narodu, tym jest mi ono droższe, tym większą ma ono dla mnie cenę i tym silniej czuję potrzebę dbania o jego całość i rozwój”⁴. Po stu przeszło latach słowa te nie straciły aktualności, ale – niestety – dziś coraz bardziej stają się *pium desiderium*.

Nie ma tu miejsca na głębszą analizę *Myśli*... Jest w nich celna analiza polskiego charakteru narodowego, z bardzo gorzką oceną polskiej szlachty (autor pochodził z podlaskiej szlachty zagrodowej, z zaścianka Dmochy).

W zaraniu odzyskania niepodległości nad sprawami Polski i Polaków zastanawiało się kilku autorów. Antoni Chołoniewski, znany swego czasu publicysta, ogłosił w roku 1917 niedużą książkę *Duch dziejów Polski*, mającą cztery wydania w dwudziestoleciu międzywojennym, wznowioną w Rzymie w roku

² J. L e c h o ń, *Legenda*, w: tenże, *Poezje*, Czytelnik, Warszawa 1979, s. 102.

³ R. D m o w s k i, *Myśli nowoczesnego Polaka*, w: *Wybór pism Romana Dmowskiego*, t. 1, Instytut Romana Dmowskiego, Nowy Jork 1988, s. 27.

⁴ Tamże.

1946, tłumaczoną zaraz po pierwszym wydaniu na francuski, niemiecki i bułgarski. Potem wydał jeszcze kilka broszur, między innymi w roku 1920 Państwo Polskie, jego wskrzeszenie i warunki rozwoju, rok potem Obrachunek stuletni.

Duch dziejów Polski to pełen emocji sprzeciw wobec poglądów głoszonych przez szkołę krakowską. Chołoniewski jest piewcą dawnej Polski, Rzeczypospolitej. Dostrzega jednak wady, klęski i zagrożenia. Te ostatnie głównie we wspomnianej broszurze z roku 1920, pełnej nadziei, ale i obaw.

Artur Górski, publicysta, tłumacz i wydawca, chrzestny ojciec Młodej Polski, autor niedawno wznowionego apologetycznego, a można nawet powiedzieć mistycznego Monsalwatu. Rzeczy o Adamie Mickiewiczu (Górski, którego profesor Stanisław Pigoń w szkicu o Karolu Hubercie Rostworowskim nazwał „jednym z krzyżowców naszej doby”), wydał w roku 1918 wznowioną potem kilka razy książkę *Ku czemu Polska szła*.

Książka ta jest, pisaną z wielkim zaangażowaniem uczuciowym, apoteozą dawnej Polski i polskości. Według Górskiego bowiem szliśmy – mimo popełnianych błędów – w dobrym kierunku, do szczytnych celów. Pisze on na zakończenie: „Polskę cechuje szlacheckość. Co ona oznacza? Oznacza pewien duchowy gatunek człowieka” – i dalej: „Ku czemu Polska szła? Dzieje mówią nam: Ku szlacheckości”⁵.

Miałem okazję słuchać ostatniej wypowiedzi publicznej Artura Górskiego, kilka miesięcy przed jego śmiercią (zmarł w grudniu 1959, w dziewięćdziesiątym roku życia). Był wciąż jeszcze optymistą. Na drugi dzień po odczycie zostałem mu przedstawiony przez mego przyjaciela Pawła Trzebuchowskiego, przedwcześnie zmarłego filozofa i publicystę, w latach 1957-1958 redaktora „Przeglądu Polskiego i Obcego”. Zapamiętałem Artura Górskiego jako uroczego staruszka o miłym uśmiechu.

*Płodny historyk Feliks Koneczny, profesor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, ogłosił w roku 1921 dwutomowe dzieło *Polskie Logos a Ethos*. Roztrząsanie o znaczeniu i celu Polski. Jest to wieloaspektowa historiozoficzna analiza naszych dziejów.*

Daje też Koneczny definicję narodu: „Jest to społeczność ludów zrzeszonych do celów z poza walki o byt – pisze na początku swego dzieła. – Walka ta stanowi dla narodu tylko środek do celu. Sama ta walka nigdy narodu nie wytworzy, ani [...] nie utrzyma. Gdy naród nie ma innego zajęcia, jak tylko samą walkę o byt, gdy przyświecają mu same tylko cele ekonomiczne, zbliża się do upadku”⁶.

„Narody tracąc pamięć, tracą życie”. Kiedyś, przed półwieczem, byłem na spotkaniu „młodych” z Bolesławem Piaseckim. Wabił do współpracy. Wspomi-

⁵ A. G ó r s k i, *Ku czemu Polska szła*, Wydawnictwo M. Arcta, Warszawa 1921, s. 227, 228.

⁶ F. K o n e c z n y, *Polskie Logos a Ethos. Roztrząsanie o znaczeniu i celu Polski*, t. 1, Wydawnictwo „Antyk”, Komorów 1996, s. 13 (pisownia oryginalna).

nam to spotkanie, ponieważ z tego, co Piasecki wtedy mówił, zapamiętałem tylko jeden, ale istotny fragment. Powiedział mniej więcej tak: *Może się zdarzyć, że za lat kilkadziesiąt będą w Polsce mieszkali ludzie mówiący po polsku, ale to nie będą Polacy.*

Do spełnienia drugiej części tego proroctwa na szczęście jeszcze nie doszło, ale z mówieniem po polsku bywa różnie. Na ogół źle lub bardzo źle. Ostatnie lata okazały się dla języka polskiego fatalne. Poprzestanę na tym stwierdzeniu, ponieważ jest to temat wymagający osobnego potraktowania. Trzeba by się zastanowić, jak położyć tamę wulgaryzacji języka, inwazji młodzieżowego żargonu, a przede wszystkim bezprecedensowemu zalewowi angielszczyzny.

Pisał Artur Górski we wspomnianej książce: *„Dzieje są na to, aby wychowywał się człowiek”*⁷. A z naszą pamięcią nie jest dobrze. Znajomość historii ojczystej, nie mówiąc o powszechnej, jest na ogół pobieżna, niemal żadna, a głębsze nią zainteresowanie bardzo rzadkie, lekceważone.

Lubię czasem obejrzeć jakiś teleturniej, w którym uczestnicy muszą wykazać się wiedzą z różnych dziedzin. Sprawdzam przy okazji moje wiadomości. Nie mógłbym zdobyć nagrody. Nie potrafiłbym wyliczyć nazwisk mistrzów sportu. Nie znam się na muzyce rozrywkowej ani na amerykańskich filmach. A z tych dziedzin uczestnicy turniejów, zwłaszcza młodzi, mają na ogół imponujące wiadomości. Za to na pytania z historii (najczęściej bardzo ogólne) pada najczęściej błędnych odpowiedzi. Podobnie jest z literaturą, ze sztuką. Źle dzieje się z naszą pamięcią. Nie umiemy poczuwać się do wspólnoty z Polakami z dawnych wieków. Nie rozumiemy ich. Nie myślimy o nich. Cenimy rozrywkę. Emocjonujemy się sportem. Historia? Po co to komu?

Często ogarniam myślą naszą historię. Ubolewam, że Bolko Chrobry żył za krótko, że nie udało się utrzymać granicy na Łabie i uchronić plemion Słowian zachodnich przed niemieckim mieczem. Myślę, co by było, gdyby Bolesław Krzywousty nie podzielił Polski między synów – pewnie wtedy nie trzeba by było wzywać krzyżaków.

Buntuję się przeciw nazywaniu ostatniego Piasta „Wielkim”. Jak mógł oddać Śląsk cesarzowi? Śląsk, który bez trudu można było odzyskać podczas wojny trzydziestoletniej, który trzeba było wziąć jako zapłatę za odsiecz wiedeńską.

Tyle jest spraw bolesnych, trudnych. Spraw, które aż proszą o „gdybanie”. Na przykład: Czy książę Józef Poniatowski w roku 1813 nie lepiej by postąpił, zostając na lewobrzeżu Wisły ze swoim odtworzonym korpusem, nawiązawszy łączność z załogami Zamościa i Modlina? Nie po to, by bić się ze słabym wówczas Kutuzowem, ale by wygrać swoją obecność. Proponował mu to Adam Czartoryski, nominalnie bliski krewny. Książę Józef odmówił. Cóż, honor to ważna rzecz, ale można było honoru nie utracić.

⁷ G ó r s k i, dz. cyt., s. 9.

Nie mam sentymentu do Powstania Listopadowego. Były wtedy realne możliwości wygrania wojny z Rosją. Nie wykorzystano ich. A taka okazja nie zdarza się dwa razy. Za to ogromnym sentymentem darzę powstańców styczniowych. Oni nie mieli żadnych szans. Nie mieli niczego prócz woli walki. Chwała im za to, gloria victis.

Rozważając nasze dzieje najnowsze, nie można pominąć nazwiska Józefa Piłsudskiego. Przez większą część okresu PRL-u nazwisko to było plugawione, a potem przemilczane. Wydobył je z niebytu Edward Gierek, dla własnych zresztą celów. Po roku 1989 wznowiono kult starego Marszałka niemal na wzór lat trzydziestych. Przy każdej okazji śpiewa się Pierwszą Brygadę, nawet podczas przysięgi rekrutów. Nadaje się jego imię miejscom i instytucjom. Wznawia się legendę „Legionów Piłsudskiego” – istniejących w latach 1914-1917 – które jakoby wywalczyły Polsce niepodległość. A przecież tworzenie polskich oddziałów po stronie niemiecko-austriackiej było błędem politycznym, korzyści militarnych nie przyniosło, bo przynieść nie mogło. Notabene ze słabiutkich trzech brygad legionowych tylko pierwsza była pod komendą Piłsudskiego.

Nie być dziś piłsudczykiem to w opinii wielu prawie tak, jak nie być Polakiem. Rzadko można usłyszeć trzeźwą, realistyczną ocenę działalności Józefa Piłsudskiego, usłyszeć o jej plusach i minusach. Niezaprzeczalne zasługi położył on w okresie od listopada 1918 do roku 1921. Miał charyzmę przywódcy i samorodny talent wojskowy. Ale jego powrót na scenę polityczną po wcześniejszej rezygnacji z funkcji Naczelnika Państwa nie odbył się lege artis.

Zmiana sytuacji politycznej, ukrócenie sejmowładztwa było wtedy koniecznością, ale można było sięgnąć po środki legalne. Nie wolno było dokonywać tego na drodze wojny domowej. Nie wolno było więzić i usuwać z wojska tych, którzy bronili legalnej władzy. Nie wolno było wysyłać do sejmu policjantów, by wyrzucali posłów opozycji. Owe „nie wolno” można by tu mnożyć.

Zresztą trzeba powiedzieć wprost, że Druga Rzeczpospolita od swych narodziń naznaczona była piętnem śmierci. Jak w greckiej tragedii. Bo tragedia (według definicji Juliusza Kleinera) to przedwczesne i nieuchronne zniszczenie wielkiej wartości.

Państwo nasze – wciśnięte pomiędzy dwu wrogów dyszących chęcią odwetu i mimo chwilowych słabości wciąż od nas znacznie silniejszych, obarczone mniejszościami narodowymi, wyniszczone wojną, pozbawione przemysłu zbrojeniowego, który organizowaliśmy z niczego, na miarę skromnych możliwości (Centralny Okręg Przemysłowy zaczęliśmy tworzyć od roku 1936), liczące na iluzoryczne sojusze – stanowiło łatwy kąsek.

Wojna była nieuchronna. Bardzo trudno byłoby jej uniknąć za cenę ustępstw, jako że zaraz zażądano by kolejnych. Po słynnej mowie ministra Becka, odrzucającego niemieckie żądania, Adolf Bocheński (autor książki Między Niemcami a Rosją, poległy we Włoszech jako oficer Pułku Ułanów Karpackich) napisał artykuł pt. Samobójstwo w obawie przed śmiercią. Jednakże tego samo-

bójstwa nie sposób było uniknąć. W Kampanii Wrześniowej popełniono wiele błędów, ale gdyby się nawet nie wydarzyły, to i tak doszłoby do klęski.

Niepodległość utraconą w roku 1939 odzyskaliśmy po pięćdziesięciu latach. Po wojnie i po komunistycznym zniewoleniu, które przyniosło straty niepoli-
czalne, wielokrotnie przewyższające te, których naród nasz doznał w czasie
stu dwudziestu trzech lat okresu zaborów. Znacznej części tych strat, niestety,
nie uda się naprawić wcześniej niż po upływie dalszych kilkudziesięciu lat, a i to
przy usilnej pracy, z wydatną pomocą Kościoła.

Okres po roku 1989 przyniósł wiele zmian na lepsze, ale mimo to, by lata te
scharakteryzować jednym zdaniem, trzeba by napisać, że po wielkich nadzie-
jach przyszło wielkie rozczarowanie, a po radości – smutek.

Z Homerowej Odysei (w przekładzie Lucjana Siemieńskiego), czytanej
w pradawnych latach studenckich, najlepiej zapamiętałem pieśni opatrywane
przez komentatorów wspólnym tytułem „Opowieści u Feaków”. Wiele można
się stamtąd nauczyć. Jak choćby tego, że olbrzyma łatwo pokonać, gdy się go
oślepi. Tego, że na śpiewy syren trzeba zalepiać uszy. Że nie wolno otwierać
worka z darem Eola, i tak dalej.

Najczęściej jednak wspominam opowieść Odysa o żeglowaniu przez cieśni-
nę nie do ominięcia, pomiędzy dwiema bestiami: Scyllą i Charybdą. Pierwszą
z nich tak opisała Odysowi nimfa imieniem Kirka:

Łap dwanaście szkaradnych jest u tej bestyi,
I sześć szyj wyciągniętych, a na każdej szyi
Łeb sprośny, w paszczy zębów trzy rzędy, a przy tym
Gęstych, a chropoczących przeraźliwym zgrzytem⁸

Owa to Scylla łapie żeglarzy i pożera. Byliśmy, my, naród, w jej zasięgu.
Porywały nas jej czarne i czerwone łapy przez pięć lat. Przez dalszych lat
czterdzieści pięć nie zagrażały nam już odcięte czarne łapy. Zostały czerwone.
Trudno było się z nich wyrwać, ale wreszcie osłabły i skurczyły się. Ale pamię-
tajmy, że nie szczęły, grożą nam z Królewca, lekką im ręką oddanego przez
p. Roosevelta. Bolesne straty ponieśliśmy od tej hydry. Płyniemy teraz drugą
stroną cieśniny. Postuchajmy Homera:

Jest tam figowe drzewo ze skały zwieszone,
Pod nim groźna Charybda tyka morze słone;
Trzykroć w dzień je wyrzuca, trzykroć wciąga w siebie.
A gdy wciąga, o! niechże nie będzie tam ciebie!⁹

⁸ H o m e r, *Odyseja*, XII, w. 89-92, tłum. L. Siemieński, oprac. J. Łanowski, Zakład Narodowy
im. Ossolińskich, Wrocław 1981, s. 227.

⁹ Tamże, XII, w. 103-106, s. 227n.

Cóż, kiedy tam jesteśmy. Wabią nas słodkie owoce figowego drzewa. Dajemy się wsysać Charybdzie. To przecież nie boli. Że w wodzie wyrzucanej przez Charybdę jest trucizna? Że wciąga nas ona na zatracenie? Bzdury! Przecież to same przyjemności. Ułatwienia: rewolucja seksualna, usuwanie ciąży, nagminne rozwody, porzucanie dzieci, „parady równości”, uznawanie związków homoseksualnych za małżeństwa, odchodzenie od Kościoła, od religii, bo to niemodne, nienowoczesne. Długo by wyliczać te przyjemności, te ułatwienia.

Propaguje je kino i telewizja. Dominują tam filmy amerykańskie i wzorowane na nich polskie, popularyzując łatwy i przyjemny sposób życia, pokazywany na przemian z opisami zbrodni. To samo literatura „piękna”. Zalew amerykańskich powieści. Trudno na wystawach księgarń zobaczyć polską książkę literacką, a jeśli już jest, to taka, która z polskością ma niewiele wspólnego.

„Ojczyzna to ziemia i groby...”.

„O, polski kraju święty, warowny grodzie nasz, o, jakże niepojęty ty dla nas urok masz...” – śpiewał to kiedyś, przy uroczystych okazjach, chór naszego Uniwersytetu, zaraz po Gaudeamus i po Gaude mater... Gorczyckiego. Słuchałem zawsze tych słów ze wzruszeniem, jak też innej pieśni (nie pamiętam, kto i kiedy ją śpiewał): „Ojczyzna twa, dziecię, to cały ten kraj, to lasy i pola, to łąki i gaj...”.

Od wczesnego dzieciństwa ulubilem lasy. Najpierw były to malownicze zagajniki ponad Wilią, „naszych strumieni rodzicą”, potem bory pomorskie w okolicach Torunia. Po wojnie moje harcerskie serce (przed stalinowską reformą) pokochało lasy Roztocza, wokół Krasnobrodu, Zwierzyńca. Cudowne. Jak tamte nad Wilią i na Pomorzu.

Do dziś najlepiej wypoczywam w lesie, także w tym, co porasta góry. Przez wiele lat na końskim grzbiecie przemierzałem lasy otaczające Lublin i jego okolice. Łatwiej wtedy było poznawać większe przestrzenie, ostępy leśne, łatwiej zaskoczyć zwierzynę.

Nie wstydzę się powiedzieć, że kocham las. Polski las. Dom nasz i świątynię. Skarb narodowy. Chodzę po lesie, już tylko piechotą, wspominając tamte, dziecięce i młodzięcze zauroczenia. Wspominam nie bez bólu serca. Nie tylko dlatego, że nie ma już tych, co mnie, dziecko, prowadzili do lasu, uczyli go kochać i szanować. Cierpię także i dlatego, że tamte, dawne lasy, były czyste, mimo że nie przeprowadzano akcji „sprzątanie świata”. Trudno w to dziś uwierzyć.

A teraz? Idzie Polak do lasu, do parku narodowego, w Tatry, w Pieniny czy w Bieszczady. Dobrze jeszcze, kiedy nie wjeżdża samochodem czy motocyklem. Bierze ze sobą jedzenie, picie i używki. Niesie i nie narzeka na ciężar. Niestety, potem wszystkie opakowania zaczynają mu ciążyć. Rzuca to wszystko byle gdzie. A czemu ma nie rzucać? Czy to jego ten las? A czyj, bracie Polaku? W domu pewnie nie rzucasz śmieci na podłogę. Ani w kościele (jeśli w ogóle tam chadzasz). A las to dom twój, i świątynia. Kochaj go i szanuj.

„Cha, cha, cha! Ale bredzi ten stary! Las to dom? Cha, cha, cha! Świątynia? Pogańskie brednie. Urwałeś się, dziadku, z choinki?” – już to słyszę. Cóż, śmiech to zdrowie. Śmieście się. A lasy pęcznieją od śmieci. Co roku z Tatrzańskiego Parku Narodowego wynosi się tony śmieci, wiele ton. Coraz więcej.

Śmieci w lesie zostawiają nie tylko turyści. Dzielnie im sekundują okoliczni mieszkańcy. Po co płacić za wywóz śmieci? Kto by tam zawracał sobie głowę ich zakopywaniem? Przecież tu, zaraz blisko, jest las! Rzucić śmieci byle gdzie, pod sosnę, we wrzosi. A niech tam sobie leżą. Komu to przeszkadza?

„Ojczyzna to ziemia i groby...”. Zaśmiecona ta ziemia nasza. A groby? Im także nie daje się dziś spokoju. Czemu nie ukraść z nagrobków czego się tylko da? Czemu nie wyrwać mosiężnych ozdób i liter, skoro można za nie dostać pieniądze „na skupie”? Bywa i gorzej. Spotkałem kiedyś w lesie samotny grób. Z krzyżem, co to „nie pamięta już, kto pod nim śpi”. Bo na krzyżu był napis: „Nieznany żołnierz”. Przyszedłem tam po roku. I co? Ktoś się „zabawił”. Wydrapał pierwsze trzy litery. Zostawił (dobry, bo mógł zdrapać wszystko, mógł też wyrwać krzyż) napis: „znany żołnierz”. Ale śmieszne, co nie? Boki zrywać. I za kogoś ty ginął, bracie żołnierzu?

Chodzę po lesie. Jeśli mam siły, upycham trochę śmieci pod runem, pod mchem, w ziemi. A serce boli. Lubię też stanąć nad mrowiskiem. Popatrzeć. Podumać. One pracują. Wznoszą imponujące budowle, przy których piramidy to maleńkie lepianki. Mrówki pracują. Nie kłócą się. Nie strajkują. Nie mają sejmu i rządu. Po prostu pracują. Dla wspólnego dobra. Jak pisał Jan Kochanowski w Pieśni XIX z Ksiąg wtórych: „a jako kto może, / Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże”¹⁰.

¹⁰ J. Kochanowski, *Dzieła polskie*, oprac. J. Krzyżanowski, PIW, Warszawa 1979, s. 275.